

KAZIMIERZ GLIŃSKI

WIELKI SZLEM

WUJASZEK

WIELKI SZLEM.

Zaledwie godzina ósma na staroświeckim wydzwoniła zegarze, jak zabelkotał dzwonek u drzwi wchodowych, dając hasło, że zjawił się gość pierwszy, za którym inni nadciągną i napelnią pokoje gościnnego domu państwa Szczawskich.

I rzeczywiście, dzwonek się zaczął odzywać raz po raz... Przybywali naprzód mężczyźni żonaci i kawalerowie, którzy, po zwykłym powitaniu gospodarstwa i po koniecznym zawiadomieniu, o czym wszyscy wiedzieli, że zimno na dworze (było to w styczniu) — usiedli w salonie, rzucając co chwila oczyma na drzwi sąsiedniego pokoju, gdzie kilka zielonych stolików z właściwymi przyborami stało. Ody dostateczna liczba zebrała się mężów, p. Artur się odezwał:

— Nie traćmy drogiego czasu, panowie!

Widocznie oczekiwano tych słów... powstali natychmiast, z grzecznym uśmiechem skłonili się bawiąc ich rozmową gospodyni i zasiedli do winta.

— Pas:

— Paaas — wnet z przyległego odezwało się pokoju.

Umilkły na chwilę dzwonek zaczął znów belkotać, gospodarz poskoczył do przedpokoju... przybywały panie.

Gwarniej się nieco zrobiło, przyjaciółki ścisnęły się serdecznie, nieprzyjaciółki — w uniesieniu rzucały się w ramiona, komplementując się nawzajem.

Pan Marek całował ręczki przybyłych niewiastek, zdejmował futra, rozwiązywał szale, dopomagał nawet zziębniętym nóżkom z kaloszków się uwolnić.

*** — Panowie już pewnie przy kartach — zaczęła jedna z pań.

— A tak! — odpowiedział gospodarz.

— Tylko nie pan Adam — broniąc narzeczzonego, odezwała się młoda, o jasnych włosach — dziewczyna.

— Właśnie dziś pierwszy jego popis — rzekł pan Marek. — Dotąd znalazł wintę z teorii tylko, teraz w praktyce go zastosowuje.

Panna Julia spłonęła.

— Nie pozwolę, za nic! — zawołała nawpół ze śmiechem, ale w dźwięku jej głosu stłumiony gniew znać było.

Szybko przebiegła salon, kierując się • do gabinetu pana Marka, skąd dłuższe lub krótsze „pas!” było słychać.

— Panie Adamie! — -zawołała, w drzwiach stając.

' — A... pani! — odezwał się młodzieniec, podnosząc się nieco na krześle i pochylając głowę w ukłonie — zaraz sfu- ' żę!...

— Proszę pana.

— W tej chwili, łaskawa pani!

— Ale ja czekam...

— Zaraz, droga panno Juljo! chwileczkę... daję wielkiego szlema!...

— W trefle! — odezwał się, zwracając do grających.

- Pan, panie Alfonsie, wychodzisz.

Pan Alfons posuwicie rzucił kartę, rozpoczęła się gra wielkiej wagi.

Silny rumieniec wystąpił na twarz stojącej w drzwiach dziewczyny, chwilę patrzyła na zajętego grą pana Adama, wreszcie zmarszczywszy czoło, odwróciła się szybko i weszła do salonu, gdzie gwarno było pod sześciotną jej rówien- niczek i rzucającego na wsze strony dowcipy gospodarza.

Nagle w gabinecie podniósł się gwar niezwykły — pan Adam został bez dwóch...

— Czemużeś pan nie atutował do końca? — wołał¹ pan Alfons.

— Nie spodziewałem się, że u pana dwójka jeszcze została — tłumaczył się nowicjusz.

- Przecież pan do trzynastu już iść umiesz! — wrzasnął niezadowolony partner pana Adama.

— I cóż, że umiem, kiedy nie rachowałem wcale ?

— Nie rachowałem! — odburknął współnik niefortunnego szlema. — To czegoż pan do gry siadasz, nie mając o niej pojęcia ?'

—Jako nie mam pojęcia!... — bronił się pan Adam.— licytowałem świetnie, zrozumiałem pana doskonale, w czas wpuściłem do ręki...

— I pysznie pod koniec rozegrałem — dokończył, śmiejąc się, Artur.

—Kiedy to temu panna Julja winna... — syknął przez zęby narzeczony.

Powstał z krzesła.

—Dokąd zmierzasz.? — spytało głosów kilka.

— Muszę przecie powitać... i... wytłumaczyć się, że zaraz nie wstałem, bobo... będą dąsy...

— Chcesz zawczasu przygotować pantofel dla siebie.

— Kiedy bo widzisz...

— Widzę to — ciągnął pan Artur, — że gdy się ożenisz, to żona ci do winta siąść nie pozwoli.

— Oho!

— Nie gadajno: oho!... Jak sobie po- ścielesz, tak się wyśpisz. Lepiej, żeby odrazu narzeczone poznały, że niekoniecznie po ślubie ulegać się im będzie. Skończysz grać, pójdiesz. Teraz korzystaj z karty, która ci szalenie iść zaczęła... Rozdajesz!...

Pan Adam się zawahał Artur mu talję kart podsunął.

— Może... masz rację — szepnął.
— Niepotrzebnie „może” wtrąciłeś.
— Rzeczywiście, że to jest nieprzyjemnie, gdy ktoś w trakcie gry przeszkadza.
— Ja tego znieść nie mogę — mówił Artur. — Szczególnie mnie irytuje, gdy karty rozdane i pierwsza już na stół padła, a tu cię na herbatę lub wieczerzę zapraszają... „Zaraz!” mówisz... Przybiega gospodyni: „panowie! herbata stygnie” „Zaraz, zaraz!” powtarzasz. Gospodarz pędzi: „panowie! proszę, proszę; zajmujcie miejsce przy damach.” Co nas te damy obchodzić mogą, kiedy jest wint na stole!!...
— Paaas! — odezwał się pan Alfons.
Adam rzucił karty o stół...
— I u mnie pas; zmieniło się szczęście!...
— Trzy piki — odezwał się pan Artur, nie zważając na „pas” przeciwnika.
Pan Marek wpadł do pokoju.
— Herbatka ostygnie; panowie proszę proszę!...
— A co? — robiąc rozpaczliwy ruch zawołał Artur — nie mówiłem?
— Proszę, proszę! — chodząc od gościa do gościa, zapraszał gospodarz.
— Mój gospodarzu, każno lepiej nam tutaj coś przynieść, i koniec!...
— Eee, może lepiej tam...
— Proszę ciebie, zrób swoim gościom tę przyjemność i tu każ przynieść sznapsa i coś po sznapsie...
— A!... jeżeli chcecie...
Zawrócił się i wyszedł, ale w pół drogi spotkał z zaproszeniem śpieszącą żonę.
— A co, proszę?
— Nie chcą przerywać gry I proszą, by im herbatę tam posłać — odpowiedział zakłopotany nieco pan Marek.
— Ależ niema komu roznosić; zresztą... panie same się bawią.
— No, widzisz, musimy być względni...
— Nie zaszkodziłaby ta uwaga i grającym.
— Tak... ale...,
— Idź do pań; ja sama panów poproszę.
Pan Marek pobiegł obsługiwać paniom: podawał cukierki, krajał torty,

obierał pomarańcze; gospodyni zaś domu udała się do gabinetu męża...

— Panowie! czekamy z herbatą...

Pan Artur ręce opuścił.

— Może pójdziemy? — odezwał się szeptem Adaś.

— Mąż pani był tak grzeczny, że obiecał nam tu coś przysłać — rzekł pas Artur.

— A ja będę tak niegrzeczną — odparła gospodyni z uśmiechem, — że karty zabiorę i panów wezmę z sobą.

.— Dobrodziejko! — zawołał" przerażony, chwytając gotowe do napadu drobne paluszki pani domu — nie rób mi tej przykrości; taka karta, jaką mam dzisiaj, raz tylko w życiu przychodzi.

— Może robimy subjekcję? — rzekł jeden z panów, powstając.

— Nie... ale myślałam...

— Jeżeli nie — odpowiedział pan Artur, — to czekamy pana Marka ze sznap- sem i czymś tam po sznapsie... *

Ucałował rączkę gosposi i zadeklarował pięć pik...

Nic było co robić — gospodarze dla gości powinni być względni. Pan Marek biegał z herbatą, pani przynosiła ciastka, mały Micio, pomagając rodzicom, roznosił koszycki z owocami, a tu co chwila zwracano się do uprzejmego gospodarza z prośbą o kawałek cukru, to

0 kropelkę araku. Usłużny pan Marek biegał, sapał, aby dogodzić gościom, którzy raczyli zagrać u niego kilka robrów winta.

Panna Julja czekała narzeczonego... Ale Adasiowi szła karta szalenie. Koronki, asy, honory sypały się jak z rękawa.

Po skończonej herbacie panie przeszły do bawialnego pokoju. Bawiły się, jak mogły, z sobą, — bo choć było kilku niewintujących wcale mężczyzn, ale i ci otoczyli stoliki i, wytrzeszczywszy oczy, patrzyli w karty grającym. Pan Marek się potrajał; a że był dosyć dowcipny, udawała mu się niezgorzej pleć piękną zabawić. Jedna tylko panna Julja usiadła na uboczu, a miała brew lekko ściągniętą i lewą piąstkę ściśniętą nieco.

O czym myślała? Bóg raczył wiedzieć!... Czasami tylko fala krwi zabarwiła nagle jej pliczki, brewki się moo-

^/ir*

niej ściągnęły i zawachlowały nozdrza. Pan Adam był jej przeznaczony na męża. Gdyby kto ją spytał, czy go kochała, — nie zawahałaby się dać twierdzącej odpowiedzi. Tak! młody był, przystojny, majątny zresztą, Kochała! ale wolała być dwa razy więcej... kochaną. A! ona niegdyś o takiej miłości marzyła, — o sercu mężczyzny, któreby tylko dla niej biło. Lecz piękne są krainy fantazji — życie ich nie ma. Pan Adam będzie do^ym mężem; a jeżeli się odda więcej przyjacielom i rozrywkom, do dzisiejszej podobnym, niż żonie, — powinna myśli własnej szepnąć: to nie poemat!... A jednak mogło być inaczej! N Pan Adam za mało ma woli — mężczyzna!

Ścisnęła piąstki i różowe usta zagryzła.

W sali było gwarno... Pan Marek rozruszał towarzystwo, zaczęto się bawić w „przysłowia,” ale ona Wyprosiła się od tej gry towarzyskie}, i wysunawszy się powoli do sąsiedniego pokoju, zajęta myślą jakąś, usiadła w kąci.

Koło godziny jedenastej zaskrzybiały sanie przed domem pana Marka, nowy gość przybył. Gospodarz rozejrzał się po salonie... Kto to był? nie brakło nikogo ze znajomych.

Odezwał się dzwonek.

Pan Marek skoczył — i po chwili dało się słyszeć w przedpokóju głośnie „a!” powitalne, później pocałunki trzykrotne, wreszcie słowa pana Szczaw- skiego':

— Niespodzianka! niespodzianka!...

I oto w drzwiach salonu stanął mężczyzna, jak dąb wyniosły, o pięknym, ale poważnym wyrazie twarzy; wąs ciemny i krótko ostrzyżona broda dodawały więcej jeszcze męskości tej nagle przybyłej postaci.

Pan Marek podprowadził gościa i zaczął pokolei przedstawiać paniom.

Był to Zygmunt Morosz, syn przyjaciela pana Szczawskiego. Ojciec mu zostawił wioszczynę maleńką, w której gospodarował uczciwie. Pospłacał długi, jakie na majątku ciążyły, sam od rana do wieczora pracował w polu, bo kochał swą ziemię i nie oddałby jej za wszystkie skarby świata... Nagle przed rokiem opuścił ojcowiznę i znikł gdzieś, zosta-

wiając gospodarstwo całe na Opatrzności bożej. Dlaczego tak zrobił? nie udało się sąsiadom prawdopodobnej nawet ploteczki ułożyć. To nagłe zniknięcie było tak niespodziane, jak niespodziane zjawienie się obecnie. Cóż więc dziwnego, że „a!” i pan Marek zakrzyczał... że „ach!” odezwało się z ust pań i panów?

Przedstawivszy nieznanym gości* swojego, gospodarz podszedł z nim do siedzącej samotnie panny Julji.

— Pan Zygmunt — zaczął.

— Znam panią — odpowiedział gość, i ująwszy dłoń, wyciągniętą przez panienkę, uściskał lekko.

Pan Marek chciał go do herbaty prowadzić, ale przybyły, widząc siedzącą w oddaleniu od towarzystwa pannę Julję, przysunął krzesło i usiadł koło niej*

— Natrętnym może jestem? zapytał.

Panna Julja uśmiechnęła się...

— Odpowiadasz mi pani uśmiechem,, to dobrze! Ale... co za niespodziewane spotkanie! Czy rodzice pani nie miesz

kają już na wsi, że spotykam panią w tem prowincjonalnem miasteczku wo- łyńskiem?

, — Na parę tygodni zimowych przyjechałam z cicią, ot! dla rozrywki.

— Nudziłaś się pani na wsi?

— Może mniej, niż tutaj.

— A! to ładna rozrywka... Towarzystwo jednak, jak widzę, jest wesołe; panią* tylko zastałem samotnie . siedzącą w tym kąciku... Ale prawda... w towarzystwie kwiatów!

Panna Julja rzuciła okiem na wazony pysznych azalij.

— Nie zauważyłam ich sąsiedztwa — odpowiedziała.

, — Sąsiedztwa kwiatów?... to dziwne!... pani, która je tak lubiłaś zawsze... szczególnie narcyzy, fil., -5- Narcyzy?... A tak!... Ale pan masz dobrą pamięć.

— Zdaje mi się — ciągnął gość powoli, — że narcyzy... pełne.

Dobyl pugilares z bocznej kieszeni surduta i, wyjmując kwiat zeschnięty, pokazał go Julji.

— Ot! takie — dodał.

Wielki szli>m. — Woj uszek.

Panna Jul ja spojrzała w źrenice mężczyzny, na którego twarzy odmalował się wyraz rzewnego smutku...

— A! — rzeki po chwili — czy to nie śmieszne, pani, nosić przy sobie kwiaty?... jeszcze romantykami jesteście, pomimo wszelkich wysiłków trzeźwego naszego wieku. Scenę taką przedstawi pani w powieści, a wnet się odezwą głosy krytyków, że autor na dawnych strunach romantyzmu gra jeszcze... I zdrowe posypią się rady, żeby się pozbył sentymentalności, na życie patrzył trzeźwiej, przedstawiał ludzi takimi, jakimi są, nie jakich mu rozogniona jego fantazja podsuwa. Bo rzeczywiście! spójrz pani na mnie!... Mam lat trzydzieści i sześć... zmarszczków kilka na czole... mówi może o myślach poważnych i głowie niezupełnie pustej. A nie "trzeba i tylu lat w dzisiejszym, siłą pary pędzącym naprzód wieku, ażeby pozbyć się wszystkich złudzeń, szczególnie tych. dobrych, złotych piefwszej młodości złudzeń! Zużywa się na świecie wszystko, a może najprędzej serce człowieka. Miłość! — wzruszył ramionami — toK dobre dla gołowąsych studentów i niedojrzałych pensjonarek. Bawią się w „zielone;" chowają wstążeczki, przez bogdanki swe uronione; strzelają się nawet, gdy srogi ojciec do nauki błaznów zapędza... Ale., ja naprzykład, który nie pamiętam już roku, kiedy stawałem do egzaminu dojrzałości.,, ten zeschnięty kwiatek narcyza noszę przy sobie jako najdroższą pamiątkę kilku szczęśliwych chwil życia...

Umilkł, w kwiat się zapatrzył, dwie łzy duże w jego pięknych zabłysły oczach.

Pannie Julji serce uderzyło... miłością bliźniego.

— Czy ten kwiat, który pan nosisz przy sobie, ta droga pamiątka, nie jest czasaEmi w związku z nagłym wyjazdem, z. usunięciem sif raczej pana z rodzinnej jego wioski?
i Tak, pani — odpowiedział Zygmunt.

— Wypadkiem może, ale mnie pan wybrałeś za powiernicę swoich smutków; może pozwolisz pan, żebym i na-. dal w tej roli 'została?...

— Słucham panią...

— Nie, ja chcę słuchać pana. Przeczytałeś mi pan wstęp bardzo ciekawej powieści... czekam końca... Bądź pan szczery, a wzajemnością mu się odplacę. ■ Co znaczył ten niespodziewany, tajemniczy tak wyjazd pański?.

— Pani nie wie?

— A któż mógłby mi o tem powiedzieć?

— Choćby sąsiedzi.

— O! mogę panu zaręczyć, że to dla nich nierozwiązaną dotąd zagadką zostało; nie udało się im nawet żadnego wątku uchwycić do wytworzenia choćby niewinnej ploteczki.

— Rodzice pani nic nie mówili?

"— Nic a nic; do tych niewiadomskich należeli i oni!

Pan Zygmunt wpatrił się w twarz siedzącej naprzeciw dziewczyny, jakby nie wierzył jej słowom; wreszcie jakiś uśmiech lepszy na ustach mu zawitał i rzekł półgłosem.

— Może lepiej, że tak się stało... spokojniej pani będzie słuchała powieści mojej...

— Więc zaczynaj pan!... pan musiałeś się kochać?

— Tak!

— I być kochanym?

— Tego nie wiem...

—Zagadki same pan rzucasz... Ale przerywam panu, bo jestem ciekawą, jak nigdy, końca powieści; Słucham!

— Pani wiesz, że nie należałem do rzędu ludzi zamożnych; własnymi rękami pracowałem koło kawałka ziemi i myślałem, że dość mieć rozum w głowie, a serce poczciwe w piersi, by te dwa dary boże przeważyły szalę bogatego wiana ukochanej kobiety. Pokochałem pełnią całego uczucia młodą i bardzo piękną dziewczynę. O prawo starania się o jej względy spytałem rodziców, i... dostałem bolesną odmowę. Odrazu runął mój piękny świat marzeń. Z podwojoną więc siłą oddałem się pracy!., szukałem w niej ulgi, zapomnienia może... Daremny trud! Miłość moja, tłumiona gwałtem, nie zamierała; przeciwnie, rosła w bezmiar nieskończoności. Z pokorą całą przyznaję się pani do wielkiego słabości grzechu. Nie byłem zdolny

przebywać w miejscach, gdzie była... ona; czułem, że serce mi pękało z bóleści, że myśl moją ogarnął szal!... Uciekłem od pamiątek, od tego wszystkiego, co mi ją przypomnieć mogło.

— I pan jej nie powiedziałeś, że kochasz ?...

— Cóżby to pomogło?

— A! pan wątpieś o sercu kobiety, któraby potrafiła może... tamy przełamać.

— Złamać się chyba, pani, ale pójść wbrew rodziców woli!...

— A jej wola?...

, — Miałażby być mocniejszą od skrzydeł motyli?

— Tak pan sądzisz? Więc nie masz czego tęsknić za nią; niegodną ona była serca pańskiego. Ale przerywam panu... Opuściłeś więc pan dom ojców i...

— Wyjechałem zagranicę.

— Długo tam pan bawiłeś?

— Rok długi.

— I zapomniałeś pan o niej... prawda? Nowy świat, nowi ludzie porwali pana w swój wir szalony. O! jestem pewna, że pocieszyłeś się pan prędko, że jedną miłość straconą wynagrodziłeś setką miłości! Przyjaciół miałeś pan dużo, krążyły puhary wina, „rouge et noir” brzmiało po nocach całych... Nie tak?... Co tam kochanka jedna!...! Są piękne aktorki zagranicznych teatrów, nadreńskich winnic nektary... i... karty, których tak nie lubią narzeczone i kochanki prawdziwe... Nie tak?

; — Umilkła, — na białem jej czole kołysała się fala gniewu, małe piąstki się zacisnęły, pierś oddychała szybko... Pan Zygmunt nie spuszczał spojrzenia z jej oczu, ciskających błyskawice, pochylił się tylko i rzekł:

— Przed chwilą pokazywałem pani zeschnięty kwiat narcyza.

Panna Julja podniosła oczy na mówiącego.

— Przepraszam pana... prawda! — szepnęła.

— I pani sądziłaś, że byłbym zdolny szlachetne uczucie zastąpić podobnemi rozrywkami

?

— Więc czym je pan zastąpiłeś?

— Pracą, kształceniem umysłu, wiedzą rozumniejszych ode mnie i pamięcią

O niezapomnianej nigdy istocie. Widzi pani, że ten malutki kwiatek dotąd przy sobie noszę. Czasem go pytam, ażeby mi dał odpowiedź w imieniu... tamtej...

I smutny bywam, że odpowiedzi żadnej otrzymać nie mogę.

W Oczach panny Julji zakręciły się łzy...

— Pan ją tak kochasz, a ona? ona nic nie wie o tem!

— I lepiej!... bo, nie mogąc być kochanym, wzbudziłbym może... litość, a to, przyzna pani, jest upokarzającym.

— Ależ to być nie może! — zawołała panna Julja porywczo. — Serce tak wierne, jak pana, kazałoby się kochać... Ja... ja byłabym szczęśliwą, posiadłszy serce takie!...

Pan Zygmunt zdrzął; w Oczach mu zajaśniał blask dziwny, serce stuknęło tak mocno, że panna Julja to uderzenie posłyszała...

— Powiedz pan hnię tej kobiety. Wyjaw doreszty tajemnicę serdeczną!... Ja... — tu głos się jej złamał — pośredniczką między wami będę...

Mężczyzna ujął jej rękę.

— Jesteś pewną pani dobrego rezultatu wstawiennictwa swojego?...

— Znienawidzę ją, jeżeli przychylniej panu odpowiedzi nie da.

— O! zatrzymaj pani te słowa; może nie wiesz sama, co mówisz...

Dziwnie te wyrazy zabrzmiały w uchu panienki, nieśmiało podniosła oczy, a ręka jej w dłoni młodego mężczyzny drżała, serce jak opętane skakało.

Pan Zygmunt, trzymając w ręku narcyz uwiędły, pochylił się do stojącej dziewczyny i szepnął:

— Ten kwiat znalazłem przed rokiem po balu jednym. Ze wszystkich tancerek „ona” tylko była w narcyzy ubrana. Ten narcyz zrobił wielką szczerbę w jej stroju, bo jeden, piękny, duży stanowi! rodzaj spięcia u jej gorsu...

— Ach! — zakrzyknęła cicho Julja.

Pan Zygmunt głosem powolnym spytał:

— Pamięta pani?...

Bez odpowiedzi ubiegło minut kilka.

— Byłżeby on... własnością?..« — szepnęła.

— Pani — dokończył Zygmunt.

26'

Panna Julja trzęsa się jak listek osiny. Łzy, jak perły drobne, utynęły jej po licach... Nie mogła słowa jednego wymówić, wyszeptać...

— Co pani teraz powie tej kobiecie, którą kocham tak tkliwie?...

Młoda dziewczyna podniosła głowę, pogodnie oczyma spojrzała w piękną twarz mężczyzny, podała mu rękę i, ściskając ją mocno, rzekła głosem spokojnym już i pewnym.

— Powiem, ażeby kochała pana, bo z tobą tylko szczęście znaleźć może, i wiem, że kochać cię będzie do ostatniego tchnienia swej piersi!

Pan Zygmunt, w uniesieniu nie wysłowionego szczęścia, chwycił jej ręce obie, przytulił do serca, do piersi, do ust podniósł, pocałunkami okrywając.

Panno Juljo! — zabrzmiał nagle podniesiony głos Adasia, który, skończywszy partję winta przybiegł narzeczoną powitać.

Panna Julja, nie wyrrywając ręki 7. uścisków niespodziewanego kochanka, zwróciła twarz tylko do nie mogącego

27

pojąć odegranej przed chwilą sceny pana Adama — i odrzuciła mu z przekąsem:

— Chwileczkę, łaskawy panie!... daję wielkiego szlema!

• Odwróciła się, i wsparta na ramieniu pana Zygmunta, z oczyma utkwionemi w jego oczy, opuściła salon.

— Co to jest ?' —: wrzasnął pan Adam.

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Widział tylko przed sobą ruch wszystkich przedmiotów... Stoliki, stołki, żyrandole, obrazy na ścianach i ściany same kręciły się wkoło niego... a tam, w dali, ginęła w mgle jakiejś postać jego narzeczonej, a z nią razem znikalo dwa kroć sto tysięcy posagu przyszłej żony.

'.— A! — krzyknął nagle — gra jeszcze nie skończona!...

Rzucił się naprzód, z myśląc zrobienia awantury .jakiejś; lecz go w pół drogi zatrzymały silne ramiona Artura.

— Co radzisz przyjacielu? — zawołał młodzieniec.

t- Pasuj, Adasiu!...

WUJASZEK.

Rozległ się trzask z bata, psy zerwały się gwałtownie, zadudniły w oknach szyby i z głuchym turkotem powóz o angielskich resorach zatrzymał się przed gankiem. Nie spodziewałem się żadnego gościa i, powiedziawszy prawdę, nie byłem w usposobieniu zbyt uprzej- rrrem w tej chwili. Od lat dwóch starałem się o pękę panny Róży, od lat dwóch wybierałem się do niej ze słowem sta- nowczem — i zawsze jakieś лихо na przeszkodzie mi stało. Jednakże uderzywszy się w piersi, sam najwięcej byłem temu winien. Poprostu nie odważyłem się pannie „kocham!” powiedzieć. Niejednokrotnie nastęczały się ku temu bardzo dobre chwile, nierzadko ze słodkiego sam na sam skorzystać można było, ale właśnie w takich godzinach

zapominałem języka w gębie, zadawałając się tylko cudnym spojrzeniem bławatkowych jej oczu. Dziś równie coś się podobnego przytrafiło. Godzinę całą siedzieliśmy nad stawem sami, łowiąc na wędki ryby, które doskonale się brały. Ze trzy kwadranse minęło w zupełnym milczeniu: Różia zdawała się niecierpliwić i zaczynała wtedy sama rozmowę której przedmiotem w chwilach takich był zwykle mój wujaszek. Rzecz tedy szła o wujaszku, o jego charakterze, usposobieniu, zamiłowaniach, stosunkach, Bóg wie zresztą, o czym. ile nie o moich sprawach sercowych. Kochając szczerze wujaszka, lubiłem gawędzić z nią o nim, na potęgę go wychwalając. Dziś jednak chciałem na właściwszy przedmiot rozmowę obrócić, ale panna Róża, jakby ukarać mię chciała za to sa- fandulstwo w tak ważnej sprawie, trwała uparcie przy dawnym toku rozmowy, drażniąc mnie tem niemiłosiernie. Długa upłynęła godzina, rybek nałowiliś.my pod- dos,tatkiem, o wujaszku wyczerpaliśmy wszystko, i gdy miałem nakoniec uczucia swoje wynurzyć, stanął przed nami ksiądz kapucyn, który przed chwilą po kwestę zjechał. Zły, powróciłem do siebie, w samotności chciałem wieczór cały przepędzić, aż oto jakiś gość nie w porę w drogę mi.wchodził. Niechętnie wyszedłem na spotkanie — i... zakrzyknąłem z radości.

Był to wujaszek!

Rzuciliśmy się w ramiona, całując się jak z dubeltówki.

Nie widzieliśmy się rok prawie. On mieszkał na Podolu, blisko granicy galicyjskiej, ja w zapadłej Ukrainie; a że to wówczas kolej nie przerzynała jeszcze tych ogromnych obszarów, widywaliśmy się raz tylko do roku, gdy zjeżdżał do mnie na święta Bożego Narodzenia. Obecny więc przyjazd jego był dla mnie prawdziwą niespodzianką, a w dzisiaj- szem utrapieniu mojem niemal deską zbawienia. W jednej chwili myśl mi do- głowy przyszła, by wezwać go do pomocy. Niech rusza w dziewosłęby, powie to. czego ja dotąd nie mogłem; a że gracko się sprawi, byłem pewny, bo • człek bywały, nie z jednego pieca chleb iadał, wojaczka się bawił, a choć czter-

dziestu pięciu lat dosięgał, iście młodzieńczą miał werwę.

— Z nieba mi spadłeś, panie wuju! zawołałem, sadzając go na wygodnym fotelu i traktując prastarym wężrzynem.

—• Albo co?... — zapytał biorąc pu- har do ręki.

Stuknęliśmy się.

— Ot co — popijając doskonale winko, zacząłem. — Wujaszek pamięta pannę Różę?

— Jeszcze jak! Przecie rok temu tańczyłem z nią kontredansa na balu u Rydzymińskich.

¹ Musisz mnie, wujaszku, wyręczyć... i jutro zaraz ruszyć w oświadczyny.

— Tak? — zapytał, nalewając drugi kieliszek wężrzyna.

Ja nie mam odwagi powiedzieć, że ją kocham. Coś mi zawsze knebluje usta, jak tylko sam z* nią zostanę; i kiedy mi się dzisiaj nie udało, to już doprawdy, że o przyszłości wątpić zaczynam. Chcę więc wujaszka prosić, by wyręczyć mpie raczył. Dla wujcia to trudnem nie będzie, prawda?

— Naturalnie, nie takie fortece zdobywałem! Każ jegomość na jutro elegancką mi czwórkę przygotować, a rękę za sukces.

Rzuciłem się drogiemu wujaszкови w ramiona.

Było blisko północy, kiedy rozmarzeni wężrzynem udaliśmy się na spoczynek. Kazałem wujaszкови piernat posłać, który zresztą wnet za okno wyrzucony został; dałem mu adamaszkową kołdrę, ale okrył się prześcieradłem, kołdrę zaś koło łóżka położył w miejsce dywanika, o którym zapomniałem.

Nie spałem noc całą, wujaszek zaś cudownie chrapał. Koło godziny dziesiątej zrana wypiliśmy strzemiennego i moje gniadosze kochanego swata do panny Róży -uwiozły.

— Wujaszku, spraw się dobrze! - wołałem mu na odSezdnem.

— Bądź spokojny! — odrzekł już z powozu i ruszył.

Do Czubina niespełna dwie mile było. Około godziny dwunastej wujaszek przy AYialti «a<jm. —' Wnjaeiwk.

będzie na miejsce przeznaczenia, obiad nieco czasu zajmie, później zwykła towarzyska pogadanka, następnie do panny Róży się zbliży, a że od herbaty nie puszcza, więc około godziny jedenastej wieczorem dopiero zpowrotem będzie.

Byłem niespokojny, czas mi się okrutnie dłużył. Zaszło słońce, ekonom przyszedł po dyspozycje na dzień jutrzejszy — załatwiłem się z nim prędko i, usiadłszy na ganku od wjazdu, oczekiwałem powrotu wuja. .

Zaturkotato.

On!

Nie, ksiądz kwestarz przyjechał.

— Po barany — wołał, zsiadając z wózka, — o których mówią sąsiedzi, że jak cieleńta wyglądają.

« Umilkł nagle, i spojrzawszy mi w oczy, zapytał:

— Cóż aspaii patrzysz tak na innie, jak kozieł na wodę?

— Nic, księżu kwestarzu; spodziewa- .łem się tylko wujaszka...

— Zostawiłem go w Czubiniu...

— I co?... — spytałem szybko..

— Tęgi człek, jak malowany... Wiele baranów dasz?

Śmiał się i, oczywiście, został u mnie na wieczere i na noc.

Spożywaliśmy dary boże o spóźnionej, nieco godzinie, bo na wujaszka czekałem, któremu widocznie nie szło tak łatwo, jak to się nam zdawało. Zegar północ wydzwonił, daremnie słuch wyteżałem — noc była cicha, wieś spała. Udaliśmy się na spoczynek. Zapiały pierwsze kury, ja oka nie zmrużyłem. Po rannej kawie ksiądz kwestarz odjechał; dzień minął, drugi wieczór nadszedł — wujaszka nie było.

Byłem dziwnie zirytowany. Zburcza- .łem ekonoma, stajennemu w kark dałem, ale to na niewiele się zdało. Nadszedł dzień trzeci oczekiwania i niepokoju.

Siedziałem na ganku, popijając kawę i tworząc rozmaite kombinacje z tak długiej gościny mojego swata u rodziców panny Róży.

Mielizby oni co przeciwko mnie? Zdaje się, że nic. A ranna Róża? O nią byłem zupełnie spokojny. Prawdopodob-

nie wujaszek zaczepił o intercyzę ślubną, bo to człek praktyczny, i wzięwszy się do poruczonego sobie interesu, jak najsu- mienniej we wszystkich obrabia go szczegółach. Słowem chce wszystko tak urządzić, żeby mnie zadowolnić zupełnie, a znając moją wrodzoną nieśmiałość (bo rzeczywiście o posagu nie mógłbym nigdy wspomnieć), różami drogę mi ściele. Poczciwy człowiek!

Rozrzewniłem się, i mimowoli wyjąwszy chustkę z kieszeni surduta, zwilgotniałe nieco oczy otarłem.

Nagle doszedł do moich uszu turkot resorowego powozu. To on! Wali moja czwórka gniadoszów wyciągniętym kłusem. Iwaś rżnie z bata, wujaszek rozparty! siedzi, wąs kręci, a uśmiech dobry porusza mu usta.

— Nakoniec! nakoniec!...

Powóz zatoczył się pod ganek... otworzyłem ramiona,

— Wujaszku. a jak?...

— Doskonale!...

— Oświadczyłeś się?...

— Ma się rozumieć.

m

- 1 cóż? zostałem prz^

— Jaktó, zostałeś! zapytał, wyprostowując się\ ja zostałem przyjęty... \- / a

- Co? • . ^Ife^gfcW¹

— Udałem się jak w dym Róży i w parę minut interes ubiłem.

— Wujaszek? — krzyknąłem przerażony.

— Pokombinujmy się — rzekł. — Chciałeś, żebyś cię wyręczył, i to mi się w zupełności udało. Zwlekaniem swo- jem znudziłeś pannę, a kobiety tego nie lubią. Zresztą ja tobie powiem otwarcie, że się w ciągu dziesięciu minut lepiej podobał, niż ty przez dwa lata. Kobiety mają rozum i... i... safandulów nie znoszą. Uważasz, mój kochany?...

Zauważyłem tó jeszcze lepiej, gdy we trzy tygodnie odbył się ślub mego wu- jaszka z panną Różą... I jak się pokazało, sam sobie sprawę popsułem. Przez całe iwa lata bawiłem pannę Różę opowiadaniem o różnych zaletach wujaszka, który urósł w jej oczach na takiego bohatera, że, patrząc na mnie, myślała

M

38

o nim — i gdy się z początku w imieniu mojem oświadczył: „Wolałabym pana!” — szepnęła,
Wujaszek po wojskowemu zmienił front i nie broniącą się zajął redutę.

Teraz mam bardzo ładną wujenkę, a wujenka tęgiego chłopaka, którego mi do chrztu
kazano trzymać, bo, jak Pana Boga kocham, za nic tego uczynić nie chciałem!

A fiU

• 1

'vi'

/

SPIIS RZECZY.

Wielki szlem Wujaszek